



VERCORS

milczenie morza

Milczenie morza

Vercors

PRZEDMOWA

Wojny, potopy, zarazy, ludobójstwa... słowem, wszelkie doświadczone przez ludzkość formy zagłady można - w pewnym znaczeniu - rozpatrywać jako wyzwania, rzucone człowieczemu umysłowi przez okoliczności przyrodnicze lub społeczne; kiedy zaś mówimy o umyśle ludzkim, mamy oczywiście na uwadze całokształt kultury obowiązującej zbiorowość, dotkniętą przez apokaliptyczną katastrofę. Apokalipsa to ma bowiem do siebie, że nie pozwala się pomyśleć czy raczej - całkowicie wyobrazić; nie można również zdać z niej sprawy; znajduje się właśnie poza doświadczeniem, o które opiera się kultura: jest więc jakby nie do wypowiedzenia. Jednocześnie przeraża i kusi umysł, jak wszelka zagadka, budząc czy jątrząc ten instynkt śmierci, o którym - nie wiem czy słusznie - mówi psychoanaliza; zarazem jednak odpycha i zniechęca myśl, która pragnie pozostać w kręgu znanym sobie i właściwym, przyswojonym już i ucłowieczonym. Im kultura sprawniejsza, bogatsza, bardziej różnorodna, tym niechętniej poddaje się bądź urokom, bądź zgrozom zagłady: stara się apokaliptyczne zjawiska ograniczyć, wytłumaczyć i wcielić w istniejący już system pojęć i odczuć. Katastrofa, której umiano znaleźć precedensy i przyczyny, nabiera bowiem swoistej „sensowności”, to znaczy, wchodzi w -strukturę uprzednio znaną: może zostać zrozumiana i przeżyta jako tragedia, nieuchronny upadek wartości, przestaje jednak przerażać jako apokalipsa, a więc zniesienie wartości jakichkolwiek, pierwotna noc i zanurzenie w przedludzki czy pozaludzki chaos. Między natężeniem katastrofy a wydolnością kultury, która chce niejako „strawić” godzące w człowieka nieszczęścia, trwa walka; jej dokumentami - także dzieła artystyczne i literackie.

Póki wszakże stworzenie dzieła jest możliwe, poty między sprzecznościami trwa - choćby chwiejna - równowaga; postępy barbarzyństwa i apokaliptyczny strach wyrażają się pośrednio, potęgując wewnętrzne konflikty cywilizacji i porażając zdolność wyrazu artystów i pisarzy. „Zarażenie śmiercią”, o którym rozprawiano po wojnie wskazując na zakażenie ofiar nihilizmem katów, objawiało się również - w postaci rozkładu form estetycznych, a więc kulturalnych, które nie mogły sprostać doświadczeniom społecznej świadomości. Jest to jednak sprawa niezmiernie zawiła. Ocalały z apokaliptycznego pogromu twórca pojmuje własną działalność jako rozdartą i sprzeczną: istotnie, to wszystko, co sobie przyswoił przed katastrofą, od najwyższych wartości poczynając, na stylu kończąc, wydaje mu się obecnie nieprawdziwe; zarazem jednak nie wyrazi doświadczenia, które uważa za jedynie ważne, jedynie rzeczywiste, jeśli nie odwoła się do środków i wartości przechowanych mimo apokalipsy, która sama, rzecz jasna, żadnych nowych środków ani wartości nie tworzy, będąc tylko barbarzyńskim cofnięciem; słowem, to doświadczenie jawi mu się jako z gruntu akulturalne albo, jak to zwykle mówiono, nieartystyczne. Względna porażka literatury, poświęconej ostatniej wojnie, ludobójstwu i męczeństwu milionów, przynosi, niestety, dobrą ilustrację dylematu, który - chwilowo przynajmniej - wydaje się nierozwiązalny. Póki bowiem w ludzkiej świadomości tkwić będzie doświadczalna pamięć zagłady, wśród czytelników i twórców przeważać musi poczucie niezadowolenia, niewystarczalności literatury apokalipsie poświęconej; wszyscy zapewne zgodzimy się łatwo, że dwudziestolecie nie wydało dzieł godnych, a jednocześnie wiernych okropnej przeszłości. Bezsilność łączy się wszakże z przeświadczeniem, że nie ma dla literatury pilniejszego zadania niż badanie i drążenie współczesnej apokalipsy: po prostu dlatego, że ona właśnie wyznaczyła - aczkolwiek mętnie, pośrednio, niszcząco - współczesną naszą wrażliwość i umysłowość. Co znamienne, także twórcy młodzi, którzy w pełni katastrofy nie doświadczyli, nawołują się wzajemnie do podjęcia okupacyjnego tematu: czują, że samych siebie nie rozumieją, jeśli nie uporają się z tym,

co ich określiło - choćby nieświadomie. Efekty nie wydają się szczególnie udane: temat apokalipsy pozostaje wciąż zarówno konieczny, jak niemożliwy.

Czyżby więc wyzwanie okazało się za silne? Zapewne, wszyscy po cichu powtarzamy za Kochanowskim:

Czasie, pożądnej ojczyźnie niepamięci...

- ponieważ agresję apokalipsy strawić i poskromić można wtedy dopiero, gdy osłabnie ona w świadomości społecznej. Choć oczekiwanie końca świata, jakże zrozumiałe w chaosie wczesnego średniowiecza, osiągnęło swój szczyt przed rokiem tysięcznym, później dopiero, wtedy gdy (mówiąc słowami Glabera) „ziemia chrześcijańska okryła się białą szatą kościołów”, zostało - w apokaliptycznej tematyce rzeźby romańskiej - w pełni wyrażone i zarazem ujarzmione: piękny przykład rozwiązania duchowego natręctwa czy kompleksu, rozwiązania, które następnym wiekom umożliwiło wprowadzenie Europy w radość gotyku. Apokaliptyczne doświadczenie, które, wbrew rozpowszechnionym w Polsce złudzeniom, nie posiada samo żadnych twórczych mocy, zmienione zostało w fakt kulturalny, ludzki. Decyduje więc w znacznej mierze czas i pozostać musi jakaś niewypowiedziana „reszta” doświadczenia katastrofy, którą nowe formy kultury odrzuca; lecz niezbędny jest również uporczywy wysiłek przyswojenia i wyrażenia tej grozy, która nieodwołalnie wtargnęła w społeczne odczuwanie.

Piewcy apokalipsy mają, przynajmniej teoretycznie, wybór między dwiema ścieżkami wyrazu i już w tym wyborze przejawia się pośrednio sprzeczność, o jakiej mówiłem: spór między autentyzmem a symbolicznością (lub raczej wszelkimi chwytami fantastycznymi, onirycznymi, alegorycznymi, mitotwórczymi). Jedni z całych sił potępiają zbankrutowaną „literaturę”, rozumianą jako uwznioślenie i mistyfikacja rzeczywistości; anatemą padnie na kłamliwą metaforę ustami Różewicza albo na oszukańczy tragizm, odczuty jako moralny luksus: tak było z Borowskim. Drudzy znowu, czując, iż naturalistyczne narzędzie, przeznaczone do obróbki zdarzeń statystycznie przeciętnych, nie umie uchwycić niezwykłości i jednorazowej wyjątkowości kataklizmu (ten jest bowiem zdarzeniem-absolutem przesłaniającym wszystko, co nie jest nim) - odwołują się do metod uwewnętrzniających bądź uogólniających apokalipsę. Istotnie, łatwiej już, niż w codziennym życiu, znaleźć można analogie katastrofy w psychice jednostki, w cierpieniach i zjawiskach patologicznych, albo znowuż, co najtrudniejsze, w strefie na poły sakralnej, legendarnej czy mitycznej. Tak niewątpliwie rozumowali Buczkowski, który całkowicie uwewnętrzniał relację o zagładzie, albo Rawicz, który - w swoim *Le sang du ciel* - starał się ją wyrazić literacką fantasmagorią.

Oba te rozwiązania niosą jednak w sobie pokaźne niebezpieczeństwa. Ten bowiem, kto pragnie osiągnąć zerowy stopień literatury, odrzucić wszystko, co jest obłudnie naddaną formą, słowem, ten, kto chce „oddać głos zdarzeniom”, ryzykuje, że jego głos rozbrzmiewać będzie tylko dopóty, dopóki trwać będzie bezpośrednia pamięć zdarzeń opisywanych. Dzieło świecić będzie wówczas światłem odbitym; w najgorszym zaś wypadku będzie niejako szantażować czytelnika współczuciem i przerażeniem, które - niezależnie od artystycznej jakości - budzą relacjonowane wypadki. Co więcej, nikt nie potrafi dać zupełnie neutralnego zapisu jakichkolwiek faktów; neutralny, obiektywny byłby wyłącznie ten sam fakt powtórzony dokładnie. Niechęć zaś do interpretacji, do integrowania zdarzeń w moralną, estetyczną, światopoglądową strukturę może - choć nie musi! - dowodzić nieufności do wszelkich struktur i systemów, słowem, utraty wiary w kulturę. Postawa świadka, w założeniu najuczciwsza, najbardziej pokorna, przerosnąć może niepostrzeżenie w swoisty nihilizm, rzadko kiedy

świadomy i zazwyczaj, wbrew założeniom pisarza, przewrotnie artystowski, ponieważ, po rozpuszczeniu wartości moralnych, trwają jeszcze estetyczne, podtrzymujące przecież samo dzieło... Wierność ofiarom apokalipsy, która kulturę niejako skompromitowała, obraca się wtedy w swe własne przeciwieństwo, w rezygnację czy cynizm, a więc postawy, które nie tyle ludziom, ile samej katastrofie pozostają wierne. Że takie niebezpieczeństwo nie jest tylko mrzonką, teoretyczną dedukcją, dowodzi niepokojąca, choć przecież niezamierzona, dwuznaczność twórczości Borowskiego, pisarza najgłębiej udręczonego wymaganiami autentyzmu. Lecz i przeciwna ścieżka łatwo kończy się zaufaniem. Istnieje bowiem rażąca - rażąca zwłaszcza dla ludzi, którzy osobiście przeżyli okropne wydarzenia - niewspółmierność między masową, prostacką i chaotyczną zgrozą zagłady, unicestwiającej wszelkie rozróżnienia, umowności, sublimacje, a z konieczności subtelnyimi, wyrafinowanymi nieraz zabiegami literackimi, które nagość doświadczenia przenoszą choćby w świat snu, majaku, halucynacji lub tym bardziej - fantastyki symbolicznej i mitopodobnej: istotnie, sama zawiałość systemu znaków, którym posłużyć się musi wtedy pisarz, przenosi uwagę z - mówiąc zwyczajnie - „tematu” dzieła na dzieło samo i, pośrednio, na jego twórcę: stąd zarzuty narcyzmu, które spotykały Rudnickiego, pretensjonalności, jakie słyszałem o Rawiczu, wtórności rzucane Odojewskiemu; zarzuty zarazem słuszne i niesłuszne, których rozplatanie wymagałoby długich rozważań, biorących pod lupę zarówno książki same, jak (instynktowne czy wyrozumowane) założenia niezadowolonych krytyków.

Problemy związane z tą kwadraturą koła, jaką jest - w moim rozumieniu - literatura apokalipsy, nabrały szczególnej ostrości w kulturach i społecznościach najgłębiej dotkniętych, jak żydowska, polska, jugosłowiańska zapewne, zarazem zaś (względnie) bezsilnych wobec katastrofy; już literatura rosyjska reagowała bardziej tradycyjnie, ponieważ doświadczenie wojny mogła ująć od strony tragicznego obowiązku. Uderzająca, choć z pozoru tylko paradoksalna, wydaje się analogia w literackich trudnościach, z jakimi borykają się ci niemieccy pisarze - myślę teraz o Günther Grassie - którzy odważyli się na odtworzenie faszystowskiej nocy Walpurgii od wewnątrz niejako: dziedzice bowiem kata stoją w obliczu strasliwszego jeszcze spustoszenia niż to, które pokonać muszą dzieci ofiar. Dogłębnie doświadczone barbarzyństwo nie pozwala bowiem odwołać się do formy, którą zazwyczaj kultura przyswaja i odzyskuje nieszczęście, jakiemu zapobiec nie sposób: a mianowicie do formy tragicznej. Apokalipsa nie poddaje się tragizmowi, ponieważ podważa wiarę w wartości, które tragizm fundują: takie jest zapewne wytłumaczenie tej zdumiewającej skłonności, jaka objawiła się w ostatnim dwudziestolecu w europejskiej literaturze: tendencji do zastępowania tragizmu groteską, oczyszczenia przez wzniosłość - oczyszczeniem przez humor, wszystko (czy prawie wszystko) nie tyle porządkujący, ile wyniszczający i wytrawiający. Masowość, bezmyślność, przypadkowość zagłady, której zapowiedzią były już przed pięćdziesięciu laty stadne rzezie Verdun... oto niewątpliwe, choć nie wyłączne na pewno, źródła jądów, spotęgowanych przez nihilizm totalnych systemów, jądów, których jak dotąd, nie może rozpuścić ani tradycja, ani postęp i które, paradoksalnie, muszą również zarażać literaturę, po to właśnie, by w ostatecznym rachunku mogły zostać obezwładnione.

Ale mówić miałem o *Milczeniu morza*. Już o nim, co najważniejsze, powiedziałem. To bowiem w opowieści Vercorsa najciekawsze, że całkiem świadomie odwraca się ona od apokalipsy, że barbarzyństwu przeciwstawia - w najdosłowniejszym znaczeniu - milczenie. Tematem utworu jest odmowa, milcząca i pogardliwa odmowa, stoicka z ducha, oczywiście, lecz nasycona osobliwie aktualnym przeświadczeniem, że nie przystoi kulturze mierzyć się z tym, co nieludzkie, apokaliptyczne. Odejdź lub zabij, zdaje się mówić Vercors barbarzyństwu; ja w żadne układy, kompromisy, pertraktacje wchodzić nie będę; nie interesuje mnie w najmniejszym stopniu ani natura

twoja, ani przyczyny, ani mechanizm; nie wciągniesz mnie nawet w walkę ze sobą, ponieważ mogłobyś mnie wówczas skazić i zbrukać. Jest w takiej postawie - widocznej, jak się łatwo przekonać, nie tylko u bohaterów, ale także w pomysłach i budowie opowiadania - wielkość i słabość jednocześnie. Wielkość jest jak gdyby idealistyczna i anachroniczna: niejedni polscy czytelnicy przyjmowali *Milczenie morza* pobłażliwym uśmiechem: inny przecie rysował mu się w pamięci obraz okupanta. Słabość znowuż budzi sympatię - i zazdrość: ach, gdybyśmy mogli, my także, pozwolić sobie na podobne wzniosłość. Opowiadanie Vercorsa mówi bowiem o świecie, gdzie tragedia jest jeszcze możliwa. Więcej: gdzie pokonany zachował taką przewagę nad najeżdźcą, że stać go na obdarzenie wroga łaską tragiczności. Symbolicznie odczytane, *Milczenie morza* oznacza nie tylko odmowę apokalipsy, ale także - jej przyswojenie i przekształcenie w uznaną i czcigodną strukturę estetyczną i moralną.

Przyswojenie to i przekształcenie przypisać można - paradoksalnie - obłudzie apokaliptycznych jeźdźców Trzeciej Rzeszy. Przybywali oni do Francji w kostiumie Rzymian, ujarzmiających Grecję - i nie ma powodu wątpić, że niejedni Werner von Ebrennac odwiedzali Paryż z miłością i czułością w duszy. Kłamstwo wodzów nabywało autentyczności w sercach jednostek. Co zaś ważniejsze, to oddźwięk, na jaki trafiło w samej Francji. Ogromna popularność, jaką *Milczenie morza* zdobyło podczas wojny, tłumaczy się tym, że trafia ono nieomylnie w sedno ówczesnej postawy francuskiego społeczeństwa: w moralność (czy amoralność) przeczekania. Ocalenie kultury mieli wtedy na ustach wszyscy: kolaboranci i ludzie Ruchu Oporu. Ponieważ Europa pogrążyła się w otchłań barbarzyństwa - głosili francuscy „neutraliści”, o wiele przecież liczniejsi od oczywistych zwolenników faszyzmu - zamknijmy oczy i uszy, zatrzasknijmy drzwi od świata: jak średniowieczni mnisi, przechowamy przyszłym pokoleniom to, co najcenniejsze. Apokalipsę proponowali więc przeczekać tchórzliwie czy kompromisowo; Vercors - w imieniu Ruchu Oporu niejako - żądał by przeczekać ją heroicznie. W obu tych postawach, których, rzecz jasna, ani na chwilę utożsamiać nie wolno, istnieje wszakże jakiś rys wspólny: odmowa zstąpienia do piekła, wstręt do barbarzyństwa i natręctwo czystych rąk, które karykaturalnie wykrzykiwali „neutraliści”, stoicko zaś i heroicznie prezentowała literatura Ruchu Oporu, tradycyjnie patriotyczna, moralistyczna i rewolucyjna. Zbliżenie to, które może wydawać się bluźniercze, wiele wszakże wyjaśnia: od popularności *Milczenia* aż do niechęci, którą - w ostatecznym rachunku - okazała literatura francuska problematyce okupacji i ludobójczej katastrofy. Przeciwnie niż w Polsce, gdzie cień wojennych doświadczeń kładzie się stale na twórczość kulturalną, literatura martyrologii i Ruchu Oporu pozostała we Francji momentem tylko, narzuconym okolicznościami; także nihilizm z innych wysączył się źródeł i inaczej objawił. W dziełach z apokalipsy zrodzonych wyziera raczej przeświadczenie, że apokalipsa nie może być normą, miarą prawdy, nie odsłania sekretów i nie obnaża pozorów; stanowi prędzej wyjątek, przypadek, tragiczne zrzędzenie i próbę moralną, będąc wtargnięciem nieludzkiego w świat ludzki, który sobie najzupełniej wystarcza. W *Milczeniu morza* znać też natrętną troskę o kulturę, której wojna po prostu - przeszkadza: palenie książek, tłumienie tradycji i oświaty, zamykanie szkół czy instytucji kulturalnych wystarczająco osądzają wroga, który przecież (w tekście Vercorsa) żadnych innych zbrodni nie popełnia.

Opowieść jest - w ostatecznym znaczeniu - optymistyczna, przynajmniej tak jak każda tragedia. Zapewne, Werner von Ebrennac zginie, ponieważ musi zapłacić za to, że pozwolił się oszukać. Lecz zginie w świadomości prawdy, która dla niego jest wprawdzie klęską, lecz dla widzów zwycięstwem. Von Ebrennac dzieli los Niemiec, kraju narażonego na pokusę apokalipsy i skłonnego do romantycznego szaleństwa, do owej hybris, jak mawiali Grecy, samobójczej zatury rozumu i umiaru. Dziedzice jednak Wenera będą mogli zostać przyjęci do humanistycznej społeczności, ponieważ pojęli swoje błędy i odbyli krwawą pokutę. Jest więc w *Milczeniu morza* stare przekonanie, że

tragedia przywraca ostatecznie ład: wahadło, o groźnych wychyleniach, osiąga wreszcie równowagę (choćby za cenę koniecznej krwi). Przekonanie, obce pisarzom takim jak Różewicz na przykład: napiętnowani apokalipsą nie mogą już uwierzyć w cnoty porządku, który wydaje im się na przemian pozorny, kłamliwy czy nudny - aczkolwiek upragniony.

Jak zaś tragiczny układ wydarzeń został w *Milczeniu morza* osiągnięty? Możliwy był tylko dlatego, że barbarzyństwa nie przeciwstawił wprost Vercors kulturze, co byłoby artystycznie nieskuteczne, podobnie jak nie sposób zestawiać Botticellego z pornograficzną pocztówką. Nie można zastaniać się książką od pałki i to właśnie jest - w skrócie - fundamentalna „niemożność” literatury apokalipsy. W *Milczeniu* Werner von Ebrennac czi te same wartości co narrator i jego siostrzenica. Marzy o zbudowaniu jednolitej kultury, która zdolna byłaby pogodzić sprzeczne manifestacje europejskiego ducha. „Wiem, że moi przyjaciele i nasz führer wyznają największe i najszlachetniejsze idee.” Aby jednak idee zostały wcielone, potrzebna jest siła. Mroczny geniusz, który czyni z Niemców narzędzie najwyższej dziejowej opatrności, sprawia, że grozi im zawsze - „gdy są sami” - pogrążenie w barbarzyństwie, ponieważ anioł niepostrzeżenie przeistacza się w zwierzę. „Nasza ziemia ma ten charakter: ten charakter nieludzki. Chcę przez to powiedzieć: nie na miarę człowieka.” Dlatego muzyka Bacha, chociaż pozwala „przeczuć... czym jest natura... natura boska i niepoznawalna”, budzi jednocześnie niepokój i zgrozę. Nadludzkie graniczy z nieludzkim i nic dziwnego, że führer i jego towarzysze „wyrwaliby komarom nóżki jedną po drugiej”. Tymczasem Werner chce „tworzyć muzykę na miarę człowieka: to również jest drogą do osiągnięcia prawdy”. By ta muzyka, to znaczy kultura, powstała, trzeba, by Francja „zechciała zrozumieć nasze pragnienie i żeby zechciała je ugasić... żeby zechciała zjednoczyć się z nami”. Trudność w tym, że „Francja nie może paść dobrowolnie w nasze otwarte ramiona, nie tracąc we własnych oczach swej godności”. Dlatego von Ebrennac nie tylko nie zniechęca się upartym milczeniem swoich Francuzów, przeciwnie - podziwia je i niejako podtrzymuje.

Filozofia Wenera, mimo całej swej naiwności, zakłada jednak szacunek i miłość dla kultury - rozumianej jako dialog i poszukiwanie prawdy - i dlatego antagoniści tragedii zachowują język wspólny, bez którego właśnie tragedia byłaby niemożliwa. I wolno nawet przypuszczać, że Vercors pojmuje ją i w jakimś sensie podziela, chociaż, oczywiście, wskazuje stale na zaślepienie i dziecinność niemieckiego oficera. Funkcja nie wyznanej, choć wzajemnej miłości, jaką żywią von Ebrennac i siostrzenica narratora, wydaje się wysoce symboliczna. Jest to jakby miłość dwóch wzajemnie uzupełniających się esencji, romantycznych Niemiec, pchanych metafizycznym wołaniem totalności, oraz klasycznej Francji, przechowującej tę ludzką miarę, do której tęskni Werner. To popularne w narodowej mitologii przeciwstawienie mógł Vercors zaczerpnąć choćby od Giraudoux, który - w międzywojennym dwudziestoleciu - poświęcił tyle trudu wzajemnemu zbliżeniu obu krajów, niemal identycznie formułując powołanie sąsiadów znad Renu. Lecz w *Milczeniu morza* przyciąganie to i uzupełnianie duchowe Francji i Niemiec zostaje od razu skażone i uniemożliwione przez dokonany gwałt. Wbrew przekonaniu von Ebrennaca, iż „nieraz najplugawsza stręczycielka zajęta jest przy narodzinach najszcześniejszego związku”, Vercors radykalnie odrzuca myśl o konieczności przemocy i usprawiedliwieniu środków przez cel, co przychodzi mu tym łatwiej, że rojenia Wenera są tylko urojeniami i nie mija parę miesięcy, a już wybijają mu je z głowy właśnie führer i przyjaciele. Tragedia, upośredniona we współczucia godnym oficerze, może się wtedy dokonać: oszukany von Ebrennac wybiera śmierć. I jemu nie wolno się rozstać z duchem niemieckości, musi ponieść karę za Niemcy i w imieniu Niemiec - nie zaś przeciwstawić się własnym przywódcom. Konflikt został, więc przez Vercorsa przeniesiony we wnętrze Wenera i ześrodkowany wokół pomyłki, jaką ten w dobrej wierze

popęłnił. Barbarzyństwo najazdu poskromił pisarz niejako dwukrotnie: raz, odrzucając - symbolicznym milczeniem - wszelki kompromis, myśl każdą o konieczności zła, raz zaś, wcielając wydarzenia w tragiczną formę, która pozostawia możliwość oczyszczenia. Werner i siostrzenica narratora stworzeni byli dla siebie: rozdzieleni zostali tragedią, która jest okrucieństwem bogów, to znaczy sił, nad którymi człowiek nie potrafił zapanować, przejrzawszy w porę podstęp. Jeśli odpokutuje i zrozumie, jeśli stoicko przyjmie wyrok, nie wdając się zarazem w żadne układy z nieludzkim, ład zostanie ocalony i umocniony. Piękna nauka; za piękna, aby była prawdziwa, myślą dzieci apokalipsy, bezlitosne w żądzy samozniszczenia, która utożsała się im z poszukiwaniem prawdy...

Jan Błoński

Pamięci Saint-Paul-Roux
zamordowanego poety.

PRZEMIANA

(Zamiast przedmowy)¹

Winien tu być może Rainer Maria Rilke - czytanie jego dzieła w dniu, kiedy autorowi tej opowieści zdało się, że każde słowo Rilkego dyktuje mu, co jest jego obowiązkiem.

Bywał czasami w Paryżu - możliwie rzadko.

Paryż w owym czasie doprowadzał go do rozpacz. Paryż budził w nim odrazę. Nie nasz Paryż ani wasz, ani mój. Lecz ten Paryż, jaki oni zrobili.

Wracając do domu myślał:

„Czy jest możliwe, żeby to było wszystko, co zostało? Te flagi wiszą teraz wszędzie. Ludzie zdają się ich nie widzieć. Ale to może przyzwyczajenie, to może dlatego, że zbyt wiele już ich widzieli. Czy to możliwe, żeby nie wzdygali się, nie płakali, nie krzyčili? Tak, to jest możliwe.

Czy jest możliwe, żeby w wielu sklepach traktowano uprzejmiej ich niż nas? Nam odpowiadają tam: «Nie ma już nic», jeśli nalegamy, wyrzucają nas za drzwi, a jeśli nie chcemy ustąpić, idą po policję. Czy jest możliwe, by to, co ukryto w pakamerze, nie było dla nas, lecz dla nich - z głębokimi ukłonami i ze znaczącym uśmiechem?

Tak, to możliwe.

Czy możliwe, żeby znalazło się tylu ludzi, co myślą sobie: «Mogę ograbić tego Żyda, skoro to jest dozwolone. To jest nawet zalecane», i przeglądają się potem w lustrze z zadowoleniem?

I tylu innych jeszcze, co mówią sobie: «Niech tam inni biją się i umierają za te głupstwa. Co mnie one obchodzą, skoro żyję dobrze i nabijam sobie kabzę?»

Tak, to jest możliwe.

Czy jest możliwe, żeby owo oblicze Paryża i Francji, które nie jest obliczem prawdziwym, było jedynym, jakie świat może widzieć? Żeby był nim ten kawałek zgangrenowanego profilu, podczas gdy inny, profil wyniosły i czysty, ukryty jest w cieniu i w milczeniu, pod osłonami wstydlivosti, które winny by raczej zasłaniać przed ludzkim wzrokiem wstrętny wrzód?

Tak, to jest możliwe.

Czy jest możliwe, żeby ci wszyscy wydawcy, na jedno skinienie, pobiegli w dyrda na przedpokoje, po rozkazy? I żeby tam spotkali tylu pisarzy?

I jeszcze: żeby inni potrafili tylko milczeć lub mówić tak cicho, że ledwie ich można usłyszeć? Tak, to jest możliwe,

¹ Ta przedmowa, napisana do drugiego wydania (potajemnego podczas okupacji hitlerowskiej), nie została ogłoszona drukiem: uznano wówczas za przedwczesne informowanie czytelników, że autor nie jest pisarzem zawodowym. (Przyp. tłum.)

I oto, postawiwszy sobie te pytania, w takiej samej nawet formie, w jakiej Malte Laurids Brigge postawił sobie swoje, które, choć bardziej wieczyste, nie były przez to bardziej przejmujące, jakże autor mógł odmówić odpowiedzi na nie?

Ale jeżeli to wszystko jest możliwe, jeżeli to wszystko ma bodaj pozór możliwości, no to trzeba, na miłość boską, trzeba, żeby coś się stało. Pierwszy lepszy, ten, który miał te niepokojące myśli, powinien zacząć coś przedsięwziąć z tego, co zostało zaniedbane: kimkolwiek byłby, choćby najmniej wskazanym, skoro nie ma innego.

Ten Brigge, ten cudzoziemiec, ten młody człowiek bez znaczenia będzie musiał sięść na swym piątku, będzie musiał pisać, pisać dzień i noc. Tak, będzie musiał pisać, tym się to skończy.”

Przybycie jego poprzedził ruch całego aparatu wojskowego. Najpierw dwóch szeregowców, obaj bardzo jasne blondasy, jeden niemrawy i chudy, drugi barczysty, o rękach kamieniarza. Obejrzeni dom, nie wchodząc. Potem zjawił się podoficer. Towarzyszył mu niemrawy szeregowiec. Zwrócili się do mnie w języku, który brali za francuszczyznę. Nie rozumiałem ani słowa. Mimo to pokazałem im wolne pokoje. Wyglądało, że są zadowoleni.

Nazajutrz rano wojskowe auto-torpeda, szare i ogromne, wtargnęło do ogrodu. Szofer i młody żołnierz, szczupły blondyn, uśmiechnięty, wytaszczyli z samochodu dwie skrzynie oraz gruby tłumok w szarym płótnie. Wszystko to wnieśli na górę do najobszerniejszego pokoju. Torpeda odjechała, a w kilka godzin później usłyszałem kawalkadę. Zjawiło się trzech kawalerzystów. Jeden z nich zsiadł z konia i poszedł obejrzeć stary budynek z kamienia. Wrócił, po czym wszyscy, konie i ludzie, weszli do stodoły, która mi służy za pracownię. Później zobaczyłem, że sztabę żelazną mego warsztatu wbili w dziurę w ścianie, między dwa kamienie, przywiązali do sztaby linkę, a do linki konie.

Przez dwa dni nic nowego nie zaszło. Nie widziałem nikogo. Kawalerzyści wychodzili wczesnym rankiem ze swymi końmi, przyprowadzali je wieczorem, a sami spali na słomie, którą sobie rozestali na górcie.

Po czym, trzeciego dnia rano, wielka torpeda powróciła.

Uśmiechnięty żołnierz dźwignął duży, oficerski kufer na ramię i zaniósł go do pokoju. Wziął potem swoją torbę, którą złożył w pokoju sąsiednim. Zeszedł na dół i zwracając się do mej siostrzenicy w poprawnej francuszczyźnie poprosił o pościel.

Gdy zastukano, poszła otworzyć moja siostrzenica. Dopiero co podała mi kawę jak co wieczór (po kawie lepiej śpię). Siedziałem w głębi pokoju, raczej w cieniu. Drzwi wychodzą na ogród, wprost, schodków nie ma. Wzdłuż całego domu biegnie chodnik z czerwonych płytek, bardzo wygodny, gdy pada. Usłyszeliśmy, że ktoś idzie, stuk obcasów na płytach. Siostrzenica spojrzała na mnie i postawiła swą filiżankę. Ja trzymałem swoją w rękach.

Było ciemno, niezbyt zimno: ten listopad nie był bardzo zimny. Ujrzałem olbrzymią sylwetę, płaską czapkę, płaszcz nieprzemakalny, zarzucony na ramiona jak peleryna.

Siostrzenica otworzyła drzwi i milczała. Drzwi rozwarła na oścież, sama stała przy ścianie, na nic nie patrząc. Ja piłem kawę drobnymi łykami.

Oficer we drzwiach powiedział: - Państwo pozwolą. - Skłonił się lekko głową. Zdawał się mierzyć ciszę. Potem wszedł.

Płaszcz zsunął mu się z ramienia, zsalutował i zdjął czapkę. Obrócił się do mej siostrzenicy, uśmiechnął się dyskretnie, pochylając bardzo lekko tors. Potem stanął na wprost mnie i złożył mi głębszy ukłon. Rzekł: - Nazywam się Werner von Ebrennac. - Zdążyłem pomyśleć bardzo szybko: „Nazwisko nie jest niemieckie. Potomek emigranta protestanta?” Dodał: - Bardzo mi przykro.

Ostatnie słowo, wymówione rozciągliwie, zapadło w ciszę. Siostrzenica zamknęła drzwi i stała wciąż oparta o ścianę, patrząc prosto przed siebie. Ja nie wstałem. Postawiłem powoli swoją pustą filiżankę na fisharmonii, skrzyżowałem ręce i czekałem. Oficer powiedział znowu: - To było oczywiście

konieczne. Byłbym tego uniknął, gdybym mógł. Sądzę, że mój ordynans zrobi wszystko dla spokoju państwa. - Stał pośrodku pokoju. Gdyby podniósł ramię, dotknąłby belek.

Głowę miał z lekka pochyloną naprzód, jak gdyby szyja nie była osadzona w barkach, lecz tam, gdzie zaczynała się pierś. Nie był przygarbiony, choć tak wyglądał. Zwracały uwagę jego wąskie biodra i barki. Twarz była piękna. Męska, naznaczona dwiema bruzdami wzdłuż policzków. Nie było widać oczu, skrytych w szerokim cieniu łuków brwiowych. Wydały mi się jasne. Włosy blond, miękkie i odrzucone w tył, połyskiwały jedwabisto pod światłem pająka.

Milczenie przeciągało się. Stawało się coraz gęstsze jak mgła poranna. Gęste i nieruchome. Nieruchomość mej siostrzenicy, moja zapewne również, dodawały temu milczeniu wagi, czyniły je ołowianym. Sam oficer, zdezorientowany, stał bez ruchu do chwili, gdy wreszcie ujrzałem zaczątek uśmiechu na jego wargach. Uśmiech jego był poważny, bez najmniejszego śladu ironii. Zrobił ręką nieznaczny ruch, którego sens wymknął mi się. Oczy jego spoczęły na mej siostrzenicy, wciąż sztywnej i wyprostowanej, mogłem więc patrzeć do woli na mocny profil, na nos wydatny i cienki. Widziałem, jak w na wpół przymkniętych wargach błyszczą złoty ząb. Wreszcie odwrócił oczy, popatrzał na ogień na kominku i rzekł: - Mam wielki szacunek dla osób kochających swą ojczyznę - po czym uniósł raptem głowę i wpatrzył się w anioła wyrzeźbionego nad oknem. - Mógłbym teraz iść do swego pokoju - powiedział. - Ale nie znam drogi. - Siostrzenica otworzyła drzwi wychodzące na małe schody i zaczęła iść po stopniach, nie rzuciwszy na oficera ani jednego spojrzenia, jak gdyby była sama. Oficer szedł za nią. Zobaczyłem wówczas, że miał jedną nogę sztywną. Usłyszałem, jak mijali przedpokój, kroki Niemca rozległy się w korytarzu, na przemian mocne i słabe, jakieś drzwi otworzyły się, potem zamknęły. Siostrzenica wróciła. Wzięła swoją filiżankę i piła kawę dalej. Ja zapaliłem fajkę. Milczeliśmy kilka minut. Powiedziałem: -- Dzięki Bogu, wygląda przyzwoicie. - Siostrzenica wzruszyła ramionami. Pociągnęła na kolana moją aksamitną kurtkę i dokończyła precyzyjnego wstawiania łąty, którą zaczęła przyszywać tego dnia.

Nazajutrz rano oficer zeszedł na dół, gdy jedliśmy pierwsze śniadanie w kuchni. Inne schody tam prowadzą i nie wiem, czy Niemiec nas usłyszał, czy też poszedł tamtędy przypadkowo. Zatrzymał się na progu i rzekł:

- Spędziłem noc bardzo dobrze. Cieszyłbym się gdyby państwo spędzili ją równie dobrze. - Rozglądał się po obszernej izbie z uśmiechem. Że mieliśmy mało drzewa i jeszcze mniej węgla, odmalowałem ją, ściągaliśmy do niej trochę mebli, starych naczyń miedzianych i talerzy, aby tam zamknąć nasze życie na czas zimy. Oglądał to wszystko i widać było połyskujące brzegi jego bardzo białych zębów. Zobaczyłem, że oczy ma nie niebieskie, jak sądziłem, lecz złotawe. Wreszcie przeszedł przez izbę i otworzył drzwi do ogrodu. Zrobił dwa kroki i odwrócił się, by popatrzeć na nasz długi, niski dom o starych brunatnych dachówkach, pokryty szpalerami i winną łożą. Uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Wasz stary mer powiedział mi, że będę mieszkał w pałacu - rzekł wskazując dłonią nieco wyżej na wzgórzu położoną pretensjonalną budowlę, którą pozwalały dojrzeć nagie drzewa. - Pochwaliłem moich ludzi, że się pomylili. Tutaj jest daleko piękniejszy pałac. - Potem zamknął drzwi, ukłonił nam się przez szyby i poszedł sobie. Wrócił wieczorem o tej samej porze co poprzedniego dnia. Piliśmy kawę. Zapukał, ale nie czekał, żeby moja siostrzenica otworzyła. Otworzył drzwi sam: - Obawiam się, że państwu przeszkadzam - rzekł. - Jeśli wolicie, będę wchodził kuchnią: wówczas zamkniecie te drzwi na klucz. - Przeszedł przez pokój i zatrzymał się chwilę z ręką na klamce, rozglądając się po różnych kątach saloniku. Wreszcie skłonił się lekko: - Życzę państwu dobrej nocy - i wyszedł.

Nie zamknęliśmy nigdy drzwi na klucz. Nie jestem pewny, czy powody tej powściągliwości były bardzo jasne i bardzo czyste. Za milczącą zgodą postanowiliśmy, moja siostrzenica i ja, nie zmieniać nic w naszym trybie życia, najmniejszego bodaj szczegółu: jak gdyby oficer nie istniał, jak gdyby był widmem. Lecz być może i inne uczucie dołączyło się jeszcze w moim sercu do tego postanowienia: nie mogę spokojnie obrażać człowieka, choćby to był wróg. Długi czas - miesiąc z górą - ta sama scena powtarzała się codziennie. Oficer pukał i wchodził. Mówił parę słów o pogodzie, o temperaturze lub na jakiś temat równej wagi, gdyż wspólną cechą owych słów było to, że nie oczekiwały odpowiedzi. Przy drzwiach zatrzymywał się zawsze trochę. Rozglądał się. Leciutki uśmiech wyrażał przyjemność, jaką widocznie sprawiały mu te oględziny - codziennie te same oględziny i ten sam uśmiech. Oczy jego zatrzymywały się na pochylonym profilu mej siostrzenicy, nieodzownie surowej i nieczutej, i gdy wreszcie odrywał od niej wzrok, jestem pewny, że mógłbym wyczytać w nim coś w rodzaju uśmiechniętej aprobaty. Potem mówił z ukłonem: - Życzę państwu dobrej nocy - i wychodził. Zmieniło się to raptownie pewnego wieczora. Padał drobny śnieg zmieszany z deszczem, mokry, przejmujący dotkliwym chłodem. Paliłem na kominku grubymi polanami, których zapas chowałem na taki czas. Mimo woli wyobrażałem sobie oficera na dworze, jego wygląd, gdy wejdzie ubielony. Ale nie zjawiał się. Dawno minęła pora jego przyjscia i drażniła mnie świadomość, że o nim myślę. Moja siostrzenica robiła coś na drutach, wolno, pilnie tym, zdawałoby się, zajęta. Wreszcie dały się słyszeć kroki. Ale z wnętrza domu. Poznałem po nierównych odgłosach chód oficera. Zrozumiałem, że wszedł innymi drzwiami, że przychodzi ze swego pokoju. Zapewne nie chciał ukazać się nam w mundurze przemokłym, wyglądać byle jak: przebrał się uprzednio. Krokiem to mocnym, to słabym zszedł po schodach. Drzwi się otworzyły i stanął w nich. Był po cywilnemu. Spodnie miał z grubej, szarej flaneli, kurtkę ze stalowobłękitnego tweedu w cętki brązowe, o ciepłym tonie. Szeroka i luźna, leżała na nim z pełną elegancji swobodą. Pod kurtką koszulka kremowa z grubej wełny obcisłała tors szczupły i muskularny.

- Proszę mi wybaczyć - rzekł. - Nie jest mi ciepło. Ogromnie przemokłem, a mój pokój jest bardzo zimny. Pogrzeję się parę minut przy ogniu państwa. - Przykucnął z trudnością przed kominkiem, wyciągnął dłonie. Obracał je w różne strony. Mówił: - Dobrze!... O, dobrze!... - Odwrócił się na piętach i wystawił na ogień plecy, wciąż siedząc w kucki i obejmując rękami kolano.

- Tutaj to nic - powiedział. - Zima we Francji jest łagodna. W moich stronach jest znacznie surowsza, znacznie. Drzewa - to sosny, gęste bory, śnieg leżał na nich ciężko. Tutaj drzewa są delikatne. Śnieg na nich to koronka. W moich stronach przychodzi na myśl byk krępy i potężny, któremu potrzebna jest do życia siła. Tutaj panuje duch, myśl subtelna i poetyczna.

Głos jego był dość głuchy, mało dźwięczny. Mówił z lekkim akcentem, zaznaczonym tylko na spółgłoskach twardych. Mowa jego przypominała brzęczenie dużych owadów, raczej śpiewne. Wstał. Oparł przedramię o okap wysokiego kominka, a czoło o wierzch dłoni. Był tak wysoki, że musiał się nieco zgarbić, ja nie zawadziłbym o to miejsce nawet ciemieniem. Trwał tak bez ruchu dość długo, bez ruchu i bez słowa. Moja siostrzenica przebiegała drutami z ruchliwością mechaniczną. Nie rzuciła nań okiem ani razu. Ja paliłem, na wpół wyciągnięty, w moim wielkim, miękkim fotelu. Myślałem, że ciężarem naszego milczenia nic nie zdoła wstrząsnąć, że ten człowiek ukloni nam się i pójdzie. Ale brzęczenie, głuche i śpiewne, rozległo się znowu; nie można powiedzieć, że przerwało ciszę, wyglądało to raczej tak, jakby się z niej zrodziło.

- Kochałem zawsze Francję - rzekł oficer, nie ruszając się z miejsca. - Byłem dzieckiem podczas tamtej wojny i to, co myślałem wówczas, nie liczy się. Ale od tego czasu kochałem ją zawsze. Tylko - z daleka. Jak księżniczkę zza morza! - Zrobił pauzę, zanim powiedział z powagą: - Z powodu mego ojca.

Obrócił się i oparł z rękami w kieszeniach kurtki o węgar kominka. Głowa jego zawadzała trochę o wspornik. Od czasu do czasu ocierał się o niego powoli potylicą instynktownym ruchem jelenia. Tuż obok stojący fotel zapraszał do siedzenia. Nie siadł tam. Do ostatniego dnia nie usiadł nigdy. Nie zaprosiliśmy go na fotel i nie zrobił nic, nigdy, co mogłoby uchodzić za poufałość.

Powtórzył:

- Z powodu mego ojca. Był on gorącym patriotą. Klęska sprawiła mu ostry ból. A jednak kochał Francję. Kochał Brianda, wierzył w Republikę Weimarską i w Brianda. Był to wielki entuzjasta. Mawiał: - „On nas połączy jak męża z żoną.” - Myślał, że słońce wszędzie wreszcie nad Europą... - Mówiąc patrzył na moją siostrzenicę. Nie patrzył na nią, jak mężczyzna patrzy na kobietę, lecz tak, jak patrzy na posąg. Istotnie, to był posąg. Żywy posąg, ale posąg. - Briand jednak został pokonany. Ojciec mój ujrzał, że Francją kierują jeszcze wasi wielcy okrutni bourgeois, tacy jak wasz de Wendel, Henry Bordeaux i wasz stary Marszałek. Powiedział mi: - „Nie udasz się nigdy do Francji, póki nie będziesz mógł wejść tam w butach wojskowych i w hełmie.” - Musiałem to przyrzec, gdyż był bliski śmierci. W chwili wybuchu wojny znałem całą Europę, z wyjątkiem Francji. - Uśmiechnął się i rzekł, jakby to było wytłumaczeniem: - Jestem muzykiem. - Jedno z polan zapadło się, żar posypał się z paleniska. Niemiec nachylił się, zebrał węgle szczypcami. Ciągnął dalej: - Nie jestem wirtuozem - komponuję muzykę. To jest całym moim życiem i dlatego jako żołnierz wydaję się sam sobie śmieszną figurą. Jednakże nie żałuję tej wojny. Wierzę, że właśnie z tej wynikną wielkie rzeczy... - Wyprostował się, wyjął ręce z kieszeni i trzymał je na wpół podniesione: - Proszę mi wybaczyć - być może, mogłem państwa dotknąć. Ale to, co mówiłem, to myślę ze szczerego serca: myślę tak z miłości do Francji. Wynikną bardzo wielkie rzeczy dla Niemiec i dla Francji. Myślę, jak mój ojciec, że słońce będzie świecić nad Europą.

Zrobił dwa kroki i pochylił tors. Jak co wieczór rzekł: - Życzę państwu dobrej nocy. - Potem wyszedł. Dokończyłem spokojnie mej fajki. Zakasłałem trochę i powiedziałem: - Może to nieludzkie odmawiać mu datku jednego słowa. - Moja siostrzenica podniosła twarz. Uniósł bardzo wysoko brwi nad błyszczącymi i oburzonymi oczami. Poczujęm, że niemal się rumienię.

Od tego dnia zaczął się nowy tryb jego wizyt. Po wojskowemu widywaliśmy go już rzadko. Przebierał się po powrocie do domu i dopiero potem pukał do naszych drzwi. Czy robił to, żeby nam oszczędzić widoku wrogiego munduru? Czy też, żebyśmy zapomnieli o nim, byśmy przywykli do jego osoby? Niezawodnie i jedno, i drugie. Pukał i wchodził, nie czekając na odpowiedź, której, wiedział o tym dobrze, nie dalibyśmy mu. Robił to z całą naturalnością i przychodził ogrzać się przy ogniu - pretekst, który ani jego, ani nas nie wyprowadzał w pole, którego charakteru, wygodnie konwencjonalnego, nie usiłował nawet ukryć.

Nie przychodził każdego wieczora, ale też nie przypominam sobie ani jednego, żeby przyszedł i nic nie mówił. Pochylał się nad ogniem i podczas gdy poddawał ciepłu płomieni jakąś część swego ciała, jego miły, dźwięczny głos podnosił się łagodnie, i był to, podczas tych wieczorów, monolog na tematy

mieszkające w jego sercu - jego kraj, muzyka, Francja - monolog bez końca, gdyż ani razu nie spróbował uzyskać od nas odpowiedzi, przytaknięcia lub bodaj spojrzenia. Nie mówił długo - nigdy znacznie dłużej niż pierwszego wieczora. Wypowiedział kilka zdań, czasem przerywanych pauzami, czasem wiążących się ze sobą monotonną ciągłością modlitwy. Niekiedy stał przy kominku nieruchomy jak kariatyda, niekiedy zbliżał się, nie przerywając sobie, do jakiegoś przedmiotu, do jakiegoś rysunku na ścianie. Potem milkł, kłaniał się i życzył nam dobrej nocy. Powiedział pewnego razu (było to w pierwszym okresie jego odwiedzin):

- Gdzie jest różnica między ogniem w moich stronach a tutejszym? Oczywiście, drwa, ogień, kominek są do siebie podobne. Ale nie światło. Ono zależy od przedmiotów, które oświetla - od mieszkańców tego saloniku, od sprzętów, od ścian, od książek na półkach. Dlaczego tak lubię ten pokój? - rzekł w zamyśleniu. - Nie jest szczególnie piękny. - Ach, przepraszam!.. - Roześmiał się: - Chciałem powiedzieć: to nie jest pokój z muzeum... O meblach państwa nie powie się: co za cuda! Nie... ale ten pokój ma duszę. Cały ten dom ma duszę.

Stał przed półkami biblioteki. Jego palce przesuwały się po oprawach z lekką pieśczołą.

- ...Balzac, Barrès, Baudelaire. Beaumarchais, Boileau, Buffon... Chateaubriand, Corneille, Descartes, Fénelon, Flaubert... La Fontaine, France, Gautier, Hugo... co za apel! - rzekł z lekkim uśmiechem, kiwając głową. - A jestem dopiero przy literze H!... Nie ma jeszcze ani Molière'a, ani Rabelais'go, ani Racine'a, ani Pascala, ani Stendhala, ani Voltaire'a, ani Montaigne'a, ani wszystkich innych!...

Przesuwał się dalej przed książkami i od czasu do czasu wrywało mu się nieznaczące: „Ha!” - gdy, przypuszczam, czytał nazwisko, o którym nie myślał. - Anglicy - mówił dalej - zaraz się myśli: Szekspir. Włosi: Dante. Hiszpania: Cervantes. A my natychmiast: Goethe. Potem trzeba szukać. A jeśli się powie: - Francja? - Kto się wtedy ukazuje? Molière? Racine? Hugo? Voltaire? Rabelais? Czy kto inny? Tłoczą się jak tłum przy wejściu do teatru, nie wiadomo, kogo wpuścić pierwszego. Obrócił się i rzekł poważnie:

- Ale co do muzyki, to znów u nas: Bach, Haendel, Beethoven, Wagner, Mozart... Które imię nasuwa się pierwsze?

I my toczyliśmy ze sobą wojnę! - rzekł z wolna, potrząsając głową. Wrócił do kominka, a jego uśmiechnięte oczy spoczęły na profilu mej siostrzenicy. - Ale to ostatnia! Nie będziemy się więcej bili ze sobą: zostaniemy małżeństwem! -

Powieki mu się zmarszczyły, zagłębienia pod kośćmi policzkowymi zaznaczyły się parą podłużnych dołeczków, ukazały się białe zęby. Powiedział wesoło: - Tak, tak! - Krótkie kiwnięcie głową powtórzyło to twierdzenie. - Kiedy weszliśmy do Saintes - ciągnął po chwili milczenia - byłem rad, że ludność przyjmuje nas dobrze. Bardzo byłem rad. Myślałem sobie: „To łatwo pójdzie.” A potem zobaczyłem, że to jest zupełnie nie tak, że to było tchórzostwo. - Spowaźniał. - Nabrałem pogardy dla tych ludzi. I boję się o Francję. Myślałem sobie: „Czy naprawdę taka się ona stała?” - Potrząsnął głową: - Nie! Nie! Przekonałem się później i teraz jestem szczęśliwy, że ma surowe oblicze. - Jego wzrok skierował się na mój - który odwracałem - zatrzymał się trochę w różnych punktach pokoju, po czym powrócił na twarz, bezlitośnie nieczułą, gdzie spoczywał przedtem.

- Jestem szczęśliwy, że znalazłem tutaj czcigodnego starego pana. I milczącą pannę. Trzeba będzie to milczenie pokonać. Trzeba będzie pokonać milczenie Francji. To mnie ęci.

Patrzył na moją siostrzenicę, na czysty profil, uparty i skupiony, w milczeniu, z poważną natarczywością, gdzie jednak błąkały się jeszcze resztki uśmiechu. Siostrzenica czuła to. Widziałem, jak z lekka się rumieni, jak powoli między jej brwiami zarysowuje się zmarszczka. Palce jej pociągały igłę nieco zbyt żywo, zbyt ostro, tak że mogła pęknąć nić.

- Tak - podjął wolno głuchawy głos - tak jest lepiej. Dużo lepiej. To tworzy związki trwałe - związki, gdzie każda strona zyskuje na wielkości... Jest bardzo ładna bajka dla dzieci, którą ja czytałem, którą państwo czytali, którą czytali wszyscy. Nie wiem, czy tytuł jest ten sam w obu krajach. U mnie bajka nazywa się: *Das Tier und die Schöne* - Bestia i Piękna. Biedna Piękna! Bestia trzyma ją w swej mocy - bezsilną i uwięzioną - narzuca jej o każdej porze dnia swą nieubłaganą i uciążliwą obecność... Piękna jest dumna, dostojna - zrobiła się: bezwzględna.. Ale Bestia jest lepsza, niż się wydaje. Och! nie jest bardzo ogładzona! Jest niezręczna, brutalna, wygląda na gburę przy Pięknej, tak wytwornej! Ale ma ona serce, tak, ma duszę, która pragnie się wznieść. Gdyby Piękna chciała!... Piękna z tym się nie kwapi. Jednakże, stopniowo, odkrywa w głębi oczu zniechęconego dozorcę więzienia światło-refleks, gdzie można czytać jego modlitwę i miłość. Mniej dotkliwie czuje ciężką łapę, mniej łańcuchy swego więzienia... Przestaje nienawidzić, ta stałość ją wzrusza, wyciąga dłoń... Bestia się natychmiast przeobraża, czary, które trzymały ją w tej barbarzyńskiej skórze, pierzchły: teraz jest to młodzian bardzo piękny i bardzo czysty, delikatny i wykształcony, a każdy pocałunek Pięknej zdobi go zaletami coraz bardziej promiennymi.. Ich związek ustala szczęście doskonałe. Ich dzieci, które pomnażają i skupiają na sobie cechy rodziców, są najpiękniejsze, jakie nosiła ziemia...

Czy państwo nie lubili tej bajki? Ja lubiłem zawsze. Odczytywałem ją ustawicznie. Wyciskała mi łzy. Kochałem zwłaszcza Bestię, bo rozumiałem jej cierpienie. Jeszcze dziś jestem wzruszony, gdy o tym mówię. Umilkł, odetchnął mocno i skłonił się:

- Życzę państwu dobrej nocy.

Pewnego wieczora, gdy wyszedł do swego pokoju po tytoń, usłyszał pieśń płynącą z fisharmonii. Grano to *VIII Preludium i Fugę*, nad którymi pracowała moja siostrzenica przed klęską. Zeszyt z nutami pozostał otwarty na tej stronie, ale aż do owego wieczora siostrzenica nie zdecydowała się na wznowienie swych ćwiczeń. Że je podjęła na nowo, wywołało to we mnie przyjemne zdumienie: jakiś nakaz wewnętrzny mógł istotnie skłonić ją nagle do tego.

To nie ona była. Nie opuściła ani swego fotela, ani swej roboty. Spojrzenie jej wyszło na spotkanie mojego, posłało mi meldunek, którego nie odcyfrowałem. Przyglądałem się uważnie długiemu torsowi przed instrumentem, pochylonemu karkowi, dłoniom długim, delikatnym, nerwowym, których palce przesuwają się po klawiszach jak samodzielne istnienia.

Zagrał tylko *Preludium*. Wstał - wrócił do kominka.

- Nie ma nic większego niż to - rzekł swym głuchym głosem, co nie wzniósł się wiele wyżej nad szept. - Większego?... To nie jest nawet właściwe słowo. Coś poza człowiekiem - poza jego ciałem. To nam pozwala zrozumieć, nie: odgadnąć... nie: przeczuć... czym jest natura... natura boska i niepoznawalna... natura... pozbawiona duszy ludzkiej. Tak, to jest muzyka nieludzka.

Zdawał się, w zadumany milczeniu, roztrząsać własną myśl. Przygryzał z wolna wargę.

- Bach... on mógł być tylko Niemcem... Nasza ziemia ma ten charakter: ten charakter nie ludzki. Chcę przez to powiedzieć: nie na miarę człowieka.

Pauza, potem:

- Tę muzykę kocham, podziwiam ją, ona mnie przepęnia, jest we mnie jak gdyby obecnością Boga, ale... ale to nie jest moja muzyka. Ja chcę tworzyć muzykę na miarę człowieka: to również jest drogą do osiągnięcia prawdy. Taka jest moja droga. Nie chciałbym, nie mógłbym iść inną. To już wiem teraz. Wiem na pewno. Od kiedy? Odkąd żyję tutaj. - Obrócił się do nas plecami. Oparł ręce na okapie, trzymał go się palcami i wystawił twarz na płomień, wychylając się spomiędzy ramion jak poprzez pręty kraty. Głos jego stał się głuchszy i bardziej bezdźwięczny:

- Teraz potrzeba mi Francji. Ale chcę wiele: chcę, żeby ona mnie przyjęła. To nic nie jest: być w niej jako cudzoziemiec - turysta czy zdobywca. Ona nie daje wówczas z siebie nic - bo nie można nic z niej zabrać, nie można jej zdobyć. Trzeba ją pić u jej piersi, trzeba, żeby podała swą pierś w ruchu i w uczuciu macierzyńskim... Wiem dobrze, że to zależy od nas... Ale to zależy również od niej. Trzeba, żeby zechciała zrozumieć nasze pragnienie i żeby zechciała je ugasić... żeby zechciała zjednoczyć się z nami.

Wyprostował się, wciąż odwrócony do nas plecami, nie przestając trzymać się palcami kamienia.

- Trzeba mi będzie - rzekł nieco głośniejszym głosem - żyć tutaj długo. W domu, podobnym do tego. Jako syn wsi podobnej do tej wsi... Trzeba będzie...

Umilkł. Obrócił się ku nam. Uśmiechały się jego usta, ale nie oczy, patrzące na moją siostrzenicę.

- Przeszkody zostaną pokonane - rzekł - Szczerość zawsze pokonywa przeszkody.

- Życzę państwu dobrej nocy.

Nie mogę sobie przypomnieć dzisiaj wszystkiego, co było powiedziane w ciągu tych stu z górą zimowych wieczorów. Ale temat prawie się nie zmieniał. Była to druga rapsodia na temat jego odkrycia Francji: miłość, którą do niej żywił z daleka, zanim ją poznał, i miłość, potęgująca się z dnia na dzień, którą czuł w sobie, odkąd miał szczęście tutaj żyć. I, dalibóg, podziwiałem go. Tak: że się nie zniechęcił. I że nigdy nie skusiło go przerwać tego nieubłaganego milczenia jakąś niepowściągliwością języka. Przeciwnie, gdy czasem pozwalał owemu milczeniu wtargnąć i nasycić pokój aż do najdalszych kątów jak gaz ciężki i duszący, on zdawał się tym z nas trojga, który czuł się tu najlepiej. Wówczas patrzył na moją siostrzenicę z tym wyrazem aprobaty, uśmiechniętej i zarazem poważnej, jaka była mu właściwa od pierwszego dnia. A ja czułem, jak dusza mej siostrzenicy miota się w tym więzieniu, które sama zbudowała, widziałem to po wielu oznakach; najmniejszą z nich było lekkie drżenie palców. I gdy wreszcie Werner von Ebrennac rozprasał to milczenie, łagodnie i bez wstrząsu, magią swego stłumionego głosu, zdawało się, że pozwala mi odetchnąć swobodniej.

Mówił o sobie często:

- Mój dom jest w lesie, tam się urodziłem, chodziłem do wiejskiej szkoły, po drugiej stronie lasu; nie opuściłem domu nigdy, dopiero gdy wyjechałem do Monachium dla egzaminów i do Salzburga dla

muzyki. Potem zawsze mieszkałem tam. Nie lubiłem wielkich miast. Poznałem Londyn, Wiedeń, Rzym, Warszawę, niemieckie miasta oczywiście. Nie lubię w nich żyć. Lubiłem tylko bardzo Pragę - żadne inne miasto nie ma tyle duszy. A zwłaszcza Norymbergę. Dla Niemca jest to miasto, które mu rozpięra serce, gdyż znajduje tam widma drogie jego sercu, a w każdym kamieniu wspomnienie o tych, co byli chlubą starych Niemiec. Sądzę, że Francuzi muszą doznawać tego samego przed katedrą w Chartres. Muszą i oni czuć tuż przy sobie obecność przodków - wdzięk ich duszy, wielkość ich wiary, ich dworność. Przeznaczenie zawiodło mnie do Chartres. Och! doprawdy, gdy ukazuje się katedra ponad dojrzałymi zbożami, cała błękitna w oddali i przejrzysta, niematerialna, to jest chwila wielkiego wzruszenia! Wyobrażałem sobie uczucia tych, co docierali ongiś do niej, pieszo, konno lub na wózkach... Podzielałem te uczucia i kochałem tych ludzi i tak bym pragnął być ich bratem!

Twarz mu się zasępiła.

- Ciężko jest niewątpliwie słyszeć to od człowieka, który przybywał do Chartres w wielkim, pancernym samochodzie... A jednak to jest prawda. Tyle uczuć gra jednocześnie w duszy Niemca, nawet najlepszego! I jakżeby pragnął, żeby go z nich wyleczono...

Uśmiechnął się znowu bardzo lekkim uśmiechem, który stopniowo rozświetlił mu całą twarz, potem rzekł:

- W zamku w naszym sąsiedztwie mieszka młoda dziewczyna... Jest bardzo piękna i łagodna. Mój ojciec cieszył się zawsze na myśl, że może ją poślubić. Kiedy umarł, byliśmy prawie zaręczeni, pozwalano nam odbywać długie spacer, tylko we dwoje...

Począł, żeby mówić dalej, póki moja siostrzenica nie nawlecze znowu nitki, która się jej przed chwilą zerwała. Robiła to bardzo starannie, ale uszko było bardzo małe i to była trudna rzecz. Wreszcie udało jej się.

- Pewnego dnia - podjął przerwany wątek - byliśmy w lesie. Rosły tam przeróżne kwiaty - żonkile, dzikie hiacynty, amarylki... Młoda dziewczyna wykrzykiwała radośnie. Powiedziała: - Jestem szczęśliwa, Wernerze! Kocham, och, kocham te dary Boga! - Ja też byłem szczęśliwy. Wyciągnęliśmy się na mchu wśród paproci. Nie mówiłem nic. Patrzyliśmy, jak nad nami kołysały się wierzchołki sosen, jak ptaki przelatywały z gałęzi na gałąź. Dziewczyna lekko krzyknęła: - O! ugryzł mnie w brodę! Paskudne stworzenie, obrzydliwy komar! - Potem zobaczyłem, że robi gwałtowny ruch dłonią. - Złapałam jednego, Wernerze! O! Popatrz, ukarzę go, ja mu wyrwę - nóżki - jedną - po - drugiej... - I zrobiła to...

Na szczęście - ciągnął - miała ona wielu innych konkurentów. Nie miałem wyrzutów sumienia. Ale zarazem przeraziły mnie na zawsze niemieckie dziewczęta.

Popatrzył w zadumie na spód swych dłoni i rzekł:

- Tacy są również u nas politycy. Dlatego to nigdy nie chciałem przystać do nich, choć pisali mi koledzy: „Przyjedź do nas.” Nie, wolałem zawsze siedzieć w domu. To nie odbijało się korzystnie na mojej muzyce, ale trudno: co znaczy powodzenie wobec spokoju sumienia. I, naprawdę, wiem, że moi przyjaciele i nasz führer wyznają największe i najszlachetniejsze idee. Ale wiem również, że wyrwaliby komarom nóżki jedną po drugiej. To się przytrafia Niemcom, gdy są sami: to powtarza się wciąż. A ktoś jest bardziej „sam” niż ludzie tej samej partii, gdy stają się władcami?

Na szczęście, nie są oni już teraz sami: są we Francji. Francja ich uleczy. I powiem państwu: oni o tym wiedzą, wiedzą, że Francja nauczy ich być ludźmi naprawdę wielkimi i czystymi.

Skierował się ku drzwiom. Powiedział głosem powściągliwym, jak gdyby do samego siebie:

- Ale do tego potrzeba miłości.

Trzymał przez chwilę drzwi otwarte; obróciwszy twarz patrzył na kark mej siostrzenicy, schylony nad robotą, kark wątyły i blady, na którym włosy wiły się w kędziorach barwy ciemnego mahoni. Dodał tonem spokojnego postanowienia:

- Miłości wzajemnej.

Potem odwrócił głowę i drzwi zamknęły się za nim, gdy wymawiał szybko codzienne słowa:

- Życzę państwu dobrej nocy.

Nadchodziły długie dni wiosenne. Oficer schodził teraz do nas przy ostatnich promieniach słońca. Nosił wciąż swe szare, flanelowe spodnie, lecz na torsie lżejsza sukienka koloru khaki nałożona była na koszulę lnianą z otwartym kołnierzem. Pewnego dnia zeszedł, trzymając książkę założoną wskazującym palcem. Jego twarz rozjaśnił ów powściągliwy półuśmiech, który wyobraża zawczasu spodziewaną cudzą przyjemność. Rzekł:

- Przyniosłem to dla państwa. Strona w *Makbecie*. Boże, jakie to wspaniałe!

Otworzył książkę:

- To jest zakończenie. Potęga Makbeta przecieka mu przez palce wraz z przywiązaniem tych, którzy ujawniają wreszcie nikczemność jego ambicji. Szlachetni panowie, broniący honoru Szkocji, oczekują jego rychłego upadku. Jeden z nich kreśli dramatyczne objawy tego rozkładu...

I przeczytał powoli z patetycznym namaszczeniem:

A N G U S

„Teraz czuje on, jak jego tajne zbrodnie czepiają mu się rąk. Co chwila ludzie odważni, oburzeni wyrzucają mu jego złą wiarę. Ci, którym rozkazuje, posłuszni są swemu lękowi, bo już nie swojej miłości. Od tej chwili widzi, jak jego tytuł wisi na nim niby szata olbrzyma na karle, który ją ukradł.”

Unióś głowę i roześmiał się. Zastanawiałem się z osłupieniem, czy myślał o tym samym tyranie co ja. Lecz powiedział:

- Prawda, że właśnie coś takiego musi nie dawać - spać po nocach waszemu Admirałowi? Żal mi tego człowieka, doprawdy, mimo pogardy, jaką wzbudza we mnie, tak samo jak w was. Ci, którym rozkazuje, posłuszni są swemu lękowi, bo już nie swej miłości. Wódz, który nie ma miłości swoich ludzi, jest nędznym manekinem. Tylko... tylko... czy można było życzyć sobie czego innego? Kto byłby przyjął tę rolę? Otóż to było potrzebne. Tak, potrzebny był ktoś, kto by zgodził się sprzedać swą ojczyznę, ponieważ dziś - i jeszcze długo - Francja nie może paść dobrowolnie w nasze otwarte ramiona, nie tracąc we własnych oczach swej godności. Nieraz najplugawsza stręczycielka zajęta jest

przy narodzinach najszcześniejszego związku. Stręczycielka nie jest przez to mniej godna pogardy ani związek mniej szczęśliwy.

Zamknął głośno swą książkę, wsunął ją do kieszeni kurtki i machinalnym ruchem dwukrotnie uderzył po tej kieszeni dłonią. Po czym, z wyrazem szczęścia rozświetlającym jego długą twarz, powiedział:

- Muszę uprzedzić mych gospodarzy, że będę nieobecny przez dwa tygodnie. Cieszę się, że jadę do Paryża. Teraz przyszła kolej na mój urlop i spędzę go w Paryżu, po raz pierwszy. To wielki dzień dla mnie. To największy dzień, spędzony w oczekiwaniu na inny, którego spodziewam się całą duszą i który będzie jeszcze większym dniem. Potrafię czekać nań latami, jeśli to konieczne. Moje serce ma wiele cierpliwości.

Przypuszczam, że zobaczę w Paryżu swych przyjaciół, z których wielu bierze udział w rokowaniach politycznych, by przygotować cudowną unię naszych dwóch narodów. Będę tedy poniekąd świadkiem tego małżeństwa... Chcę państwu powiedzieć, że cieszę się ze względu na Francję, której rany w ten sposób zabliznią się bardzo prędko, lecz cieszę się znacznie więcej jeszcze ze względu na Niemcy i na samego siebie! Nikt nigdy nie wyciągnie takich korzyści ze swego dobrego uczynku, jak Niemcy zwracając Francji jej wielkość i jej wolność!

Życzę państwu dobrej nocy.

* * *

Zgaśmy to światło, by potem zgasić światło jej życia.

Szekspir, Otello

Nie ujrzeliśmy go, gdy wrócił.

Wiedzieliśmy, że jest wśród nas, gdyż obecność gościa w domu ujawnia wiele oznak, nawet gdy jest on niewidzialny. Ale przez wiele dni - znacznie więcej niż tydzień - nie ujrzeliśmy go.

Czy mam się przyznać? Ta nieobecność nie dawała mi spokoju. Myślałem o nim; nie wiem, do jakiego stopnia nie wyrzucałem tego sobie. Ani moja siostrzenica, ani ja nie mówiliśmy o nim. Lecz gdy czasami wieczorem słyszeliśmy na górze głuche, nierówne kroki, wiedziałem dobrze po upartej pilności, z jaką raptem przykładła się do swej roboty, po kilku lekkich liniach, które znaczyły jej twarz wyrazem wraz zaciętym i czujnym, że ona również nie była wolna od myśli podobnych do moich.

Pewnego dnia musiałem pójść do Komendantury w sprawie jakiejś rejestracji opon samochodowych. Podczas wypełniania wręczonego mi formularza Werner von Ebrennac wyszedł ze swego biura. Z początku nie zauważył mnie. Rozmawiał z sierżantem, siedzącym przy stoliku przed dużym lustrem na ścianie. Słyszałem jego głuchy głos o śpiewnych modulacjach i nie wychodziłem, choć nie miałem tu już nic do roboty, nie wiedząc czemu, dziwnie wzruszony, czekając na jakieś rozwiązanie tej sytuacji. Widziałem jego twarz w lustrze, wydała mi się blada i zmizerowana. Podniósł oczy, spadły na moje, przez dwie sekundy patrzyliśmy na siebie; raptem obrócił się na piętach i stanął do mnie przodem. Rozchylił wargi i powoli podniósł rękę, ale ją prawie natychmiast opuścił. Potrząsnął głową nieomal

niedostrzegalnie z patetycznym niezdecydowaniem, jak gdyby samemu sobie powiedział: - „nie” - przy czym jednak nie spuszczał ze mnie oczu. Potem nieznacznie nachylił tors, spuszczać wzrok na ziemię, i ociężałym krokiem wrócił do swego biura, gdzie się zamknął.

Siostrzenicy nic o tym nie powiedziałem. Ale kobiety mają koci dar odgadywania. Przez cały wieczór wciąż odrywała oczy od swej roboty, żeby je co chwila przenosić na mnie, żeby próbować odczytać coś z twarzy, której usiłowałem nadać wyraz obojętny. Wreszcie opuściła ręce, znużona, i składając tkaninę poprosiła mnie, bym jej pozwolił wcześniej pójść spać. Przesuwała powoli dwoma palcami po czole jak gdyby dla uśmierzenia migreny. Pocałowała mnie, wydawało mi się przy tym, że czytam w jej pięknych, szarych oczach wyrzut i dość ciężki smutek. Po jej wyjściu porwał mnie niedorzeczny gniew: gniew, że jestem niedorzeczny i że mam niedorzeczną siostrzenicę. Co to znaczy ten cały idiotyzm? Jeżeli to był idiotyzm, wyglądał na mocno już zakorzeniony.

W trzy dni potem, za ledwie opróżniliśmy filiżanki, usłyszeliśmy, tym razem niewątpliwe, zbliżenie się regularnych uderzeń znajomych kroków. Przypomniałem sobie raptem ów pierwszy wieczór zimowy, sześć miesięcy temu, gdy te kroki dały się słyszeć. Pomyślałem sobie: „Dziś też pada.” Lało od rana. Deszcz regularny i uporczywy, co zatapiał wszystko i nasycił nawet wnętrze domu atmosferą zimna i wilgoci. Moja siostrzenica przykryła ramiona szalem z drukowanego jedwabiu, gdzie dziesięć niespokojnych rąk miękko rysowało się na przemian. Ja grzałem sobie palce na lulce mojej fajki - a to był lipiec!

Kroki minęły przedpokój i zaczęły pod nimi skrzypieć stopnie schodów. Człowiek schodził powoli, z powolnością wciąż rosnącą, ale nie jak ktoś, co się waha; jak ktoś, czyja wola przechodzi wyczerpującą próbę. Siostrzenica podniosła głowę i patrzyła na mnie, wlepiła we mnie przez cały ten czas wzrok puchacza, przezroczysty i nieludzki. A kiedy ostatni stopień schodów skrzygnął i nastąpiła długa cisza, spojrzenie mej siostrzenicy odleciało, ujrzałem, jak ciężko opadły jej powieki, głowa się pochyliła, a całe ciało powierzyło siebie oparciu fotela ruchem znużenia.

Nie sądzę, żeby ta cisza trwała dłużej niż kilka sekund, ale to były długie sekundy. Wydawało mi się, że widzę owego człowieka, jak stoi za drzwiami z podniesionym do pukania palcem i opóźnia moment, gdy samym ruchem pukania zwiąże się ze swoją przyszłością. Wreszcie zapukał. I nie było w tym ani lekkości wahania, ani pośpiechu pokonanej nieśmiałości, były to trzy uderzenia pełne i powolne, uderzenia pewne i spokojne decyzji nieodwołalnej. Spodziewałem się, że jak dawniej, drzwi natychmiast się otworzą. Ale były dalej zamknięte, i wówczas ogarnął mnie niepowstrzymany duchowy zamęt, gdzie zapytanie splątało się z niepewnością sprzecznych pragnień, zamęt, który każda sekunda, upływająca, jak mi się zdawało, z rosnącą szybkością wodospadu, czyniła tylko coraz bardziej zagmatwanym i bez wyjścia. Czy należało odpowiedzieć? Dlaczego ta zmiana? Dlaczego oczekiwał, że my przerwiemy tego wieczora milczenie, którego zbawienną uporczywość swym poprzednim zachowaniem się tak wyraźnie pochwalał? Co nam nakazywała tego wieczora - tego wieczora - godność?

Patrzyłem na siostrzenicę, by złowić w jej oczach zachętę lub znak. Ale znalazłem tylko jej profil. Patrzyła na klamkę. Patrzyła na nią z tą nieludzką nieruchomością puchacza, która już mnie uderzyła; była bardzo blada, i ujrzałem, jak sponad delikatnej, białej linii zębów podnosi się górna warga w bolesnym skurczu: i ja, wobec tego tajnego dramatu nagle odsłoniętego i tak bardzo przewyższającego bląhą mordęgę moich skrupułów, straciłem resztę sił. W tym momencie dały się słyszeć dwa nowe uderzenia - dwa tylko - dwa stuknięcia słabe i szybkie - i moja siostrzenica

powiedziała: - On odejdzie... - głosem cichym i tak kompletnie beznadziejnym, że nie czekałem dłużej i rzekłem wyraźnym głosem: - Proszę, niech pan wejdzie.

Dlaczego dodałem: - „pan”? Żeby zaznaczyć, iż zapraszam człowieka, a nie oficera nieprzyjacielskiej armii? Lub, przeciwnie, żeby pokazać, iż wiem, kto pukał, i że do niego właśnie się zwracam? Nie wiem. Mniejsza o to. Dość, że powiedziałem: „Niech pan wejdzie” - i że on wszedł.

Wyobrażałem go sobie po cywilnemu, a był w mundurze. Powiedziałbym nawet, że był bardziej niż kiedykolwiek w mundurze, jeżeli się przez to rozumie, że według mnie było jasne, iż wdział ten ubiór w stanowczym zamiarze narzucenia nam jego widoku. Otworzył drzwi na oścież i stał wyprostowany we framudze, tak wyprostowany i sztywny, że gotów byłem wątpić, czy mam przed sobą tego samego człowieka, i że, po raz pierwszy, zauważyłem jego zdumiewające podobieństwo do aktora Louis Jouvet. Stał tak kilka chwil wyprostowany, sztywny i milczący, z nieco rozstawionymi stopami i ramionami zwisającymi bez wyrazu wzdłuż ciała, i z twarzą tak zimną, tak doskonale obojętną, iż nie wydawało się, by mogło w niej mieszkać jakiekolwiek uczucie.

Ale ja, siedząc w mym głębokim fotelu i mając twarz na poziomie jego lewej ręki, widziałem tę rękę, wzrok mój był przez tę rękę opanowany i jakby przykuty do niej z powodu patosu, jaki wyrażała, patosu, który wymownie zaprzeczał całemu zachowaniu się tego człowieka...

Dowiedziałem się owego dnia, że ręka w oczach tego, kto umie ją obserwować, może wyrażać wzruszenie równie dobrze jak twarz - równie dobrze i lepiej niż twarz, gdyż bardziej wymyka się ona kontrowaniu przez wolę. A palce tej ręki wyciągały się i zginały, zaciskały i zahaczały, widać było ich najbardziej intensywną mimikę, podczas gdy twarz i całe ciało pozostawały nieruchome i sztywne.

Potem oczy jakby się ożywiły, skierowały się na chwilę na moją twarz, zdawało mi się, że czyha na mnie sokół - oczy błyszczące między rozwartymi i sztywnymi powiekami, powiekami wraz zwiędłymi i sztywnymi istoty trawionej bezsennością. Następnie spoczęły na mej siostrzenicy - i już jej nie opuściły.

Ręka wreszcie znieruchomiła, wszystkie palce zgięły się i skurczyły w dłoni, usta otworzyły (wargi rozdzielając się bąknęły: - Pp... - jak odkorkowana szyjka pustej butelki) i oficer rzekł - głos miał bardziej głuchy niż kiedykolwiek:

- Muszę zwrócić się do państwa z ważkimi słowami.

Moja siostrzenica siedziała na wprost niego, lecz pochylała głowę. Nawijała na palce włóczkę z kłębka, który się rozwijał na dywanie; ta nedorzeczna praca była niewątpliwie jedyną, jaką mogła jeszcze pogodzić ze swą rozproszoną uwagą - i oszczędzić sobie wstydu.

Oficer mówił dalej - wysiłek był tak widoczny, iż zdawało się, czyni to za cenę życia:

- Wszystko, co powiedziałem przez te sześć miesięcy, wszystko, co usłyszały ściany tego pokoju... - zaczerpnął tchu z wysiłkiem astmatyka, pierś podniosła mu się na chwilę - należy... - zaczerpnął tchu - zapomnieć.

Dziewczyna powoli opuściła ręce na suknię, upadły tam zwisle i bezwładne jak łodzie wyrzucone na piasek; powoli podniosła głowę i wtedy, po raz pierwszy - po raz pierwszy - darowała oficerowi spojrzenie swych bladych oczu.

Powiedział (ledwie to usłyszałem): - *Oh, welch' ein Licht!* - nawet nie szeptem; i jak gdyby istotnie oczy jego nie mogły znieść tego światła, zakrył je dłonią. Dwie sekundy. Potem opuścił rękę, ale przymknął powieki, i odtąd jemu przypadło nie odrywać wzroku od ziemi.

. Wargi jego wykonały - Pp... - i wyrzekł - a głos był głuchy, głuchy, głuchy:

- Widziałem tych ludzi zwycięskich.

Po czym, po kilku sekundach, głosem jeszcze cichszym:

- Rozmawiałem z nimi.

Wreszcie, w szeptcie, z ociężałością pełną goryczy:

- Wyśmieli mnie.

Podniósł oczy na mnie i z powagą trzykrotnie pokiwał głową. Oczy się zamknęły, po czym:

- Powiedzieli: - „Nie rozumiałeś, że my drwimy z nich?” - Powiedzieli to. Dokładnie. *Wir prellen sie.*

Powiedzieli: - „Nie przypuszczasz chyba, że pozwolimy jak głupcy podnieść się Francji, która dotyka naszych granic? Prawda?” - Zaśmiewali się. Poklepywali mnie wesoło po plecach, patrząc mi w twarz:

- „My nie jesteśmy muzycy!”

Głos jego zawierał, przy wymawianiu tych ostatnich słów, jakąś niejasną pogardę, nie wiem, czy odbijała w sobie jego własne uczucia wobec tamtych, czy sam ton ich słów.

- Wówczas mówiłem długo, z dużą gwałtownością. Psykali. Powiedzieli: - „Polityka nie jest marzeniem poety. Jak przypuszczasz, dlaczego prowadzimy tę wojnę? Dla ich starego Marszałka?” - Jeszcze się śmiali. - „Nie jesteśmy ani wariatami, ani durniami: mamy okazję zniszczyć Francję, będzie zniszczona. Nie tylko jej potęga: jej dusza również. Zwłaszcza jej dusza. Jej dusza jest największym niebezpieczeństwem. To jest nasza praca w tej chwili; nie łudź się, mój kochany! Zgnoimy ją naszymi uśmiechami i naszymi względami dla niej. Zrobimy z niej łąszącą się sukę.”

Umilkł. Zachłysnął się. Zaciskał szczęki z taką siłą, że widziałem, jak sterczą mu kości policzkowe, a żyła, gruba i kręta jak robak, bije przy skroni. Naraz cała skóra na twarzy poruszyła mu się w jakimś utajonym drzeniu - jak rusza się woda jeziora, gdy wietrzyk w nią uderzy; jak przy pierwszych bańkach błonka zgęstniałej śmietanki na powierzchni mleka, gdy się je gotuje. Jego oczy zawisły na białych, rozszerzonych oczach mej siostrzenicy, i rzekł tonem niskim, jednostajnym, natężonym i zdławionym, z powolnością człowieka zgnębionego:

- Nie ma nadziei. - I głosem jeszcze głuchszym, cichszym, powoli, jak gdyby dla torturowania samego siebie tym nieznośnym stwierdzeniem: - Nie ma nadziei. Nie ma nadziei. - I raptem, głosem niespodzianie wysokim i mocnym, ku memu zdziwieniu czystym i dźwięcznym jak głos trąbki, jak krzyk: - Nie ma nadziei!

Potem cisza.

Miałem wrażenie, że się śmieje. Czoło jego, pofałdowane i zmięte, przypominało linę do cumowania. Wargi mu zadrżały - wargi chorego, spieczone gorączką, ale blade.

- Zganili mnie, gniewali się nawet: - „No, widzisz! Widzisz, jak ją kochasz! Oto wielkie Niebezpieczeństwo! Ale my wyleczymy Europę z tej zarazy! Uwolnimy ją od tej trucizny!” - Wszystko mi wyłożyli, och! niczego nie zataili przede mną. Schlebiają waszym pisarzom, ale jednocześnie w Belgii, w Holandii, we wszystkich krajach okupowanych przez nasze wojska tworzą już zaporę. Żadna francuska książka nie może się tam już przedostać - z wyjątkiem wydawnictw technicznych, podręczników dioptryki lub przepisów cementowania... Ale dzieła z zakresu kultury ogólnej - ani jedno! Nic.

Jego wzrok przebiegł ponad moją głowę, latając i objając się niespokojnie o kąty pokoju, niby zbłąkany nocny ptak. Zdało się, że wreszcie znalazł schron na półkach najbardziej pograżonych w cieniu - tych, gdzie stoją szeregiem Racine, Ronsard, Rousseau. Czy jego zaczepiły się tam i głos znów odezwał się z jęczącą gwałtownością:

- Nic, nic, nikogo! - I jak gdybyśmy nie zrozumieli jeszcze, nie zmierzili potworności groźby: - Nie tylko waszych pisarzy nowoczesnych! Nie tylko waszych Péguy, waszych Proustów, waszych Bergsonów... Ale wszystkich innych! Wszystkich tamtych! Wszystkich, wszystkich! Wszystkich!

Spojrzenie jego raz jeszcze przesunęło się rozpaczliwą jak gdyby piesszotą po oprawach miękko połyskujących w półcieniu.

- Oni zgaszą płomień całkowicie! - krzyknął. - To światło już nie będzie oświetlało Europy!

Głos jego, głuchy i głęboki, wdarł się, wibrując, na samo dno mej piersi nieoczekiwanym i przejmującym krzykiem, którego ostatnia sylaba rozciągnęła się drgającą skargą:

- *Nevermore!*

Milczenie zapadło raz jeszcze. Raz jeszcze, ale tym razem o ileż bardziej posępne, pełne napięcia! Bowiem na dnie owych dawnych zamilczeń wyczuwałem - jak wyczuwa się pod powierzchnią wód walkę stworzeń w morzu - wrzące, utajone życie skrytych uczuć, pragnień i myśli, które przeczą sobie i zmagają się ze sobą... Ale pod powierzchnią tego milczenia, ach! tylko okropny ucisk...

Głos wreszcie przełamał to milczenie. Był łagodny i pełen bólu.

- Miałem przyjaciela. To był mój brat. Razem odbywaliśmy studia. Mieszkaliśmy w tym samym pokoju w Stuttgarcie. Spędziliśmy wspólnie trzy miesiące w Norymberdze. Nie robiliśmy nic jeden bez drugiego: ja grałem przy nim swą muzykę, on czytał mi swe poematy. Był wrażliwy i romantyczny. Ale mnie porzucił. Poszedł czytać swe poematy w Monachium, przed nowymi towarzyszami. To on pisał mi wciąż, żebym przyjechał zobaczyć się z nimi. To jego widziałem w Paryżu w gronie przyjaciół. Zobaczyłem, co oni z niego zrobili!

Pokręcił z wolna głową, jak gdyby musiał odpowiedzieć bolesną odmową na jakieś błaganie.

- On był najbardziej zaciekle! Gniew mieszał się u niego ze śmiechem. Albo patrzył na mnie z ogniem i krzyczał: - „To jest jad! Trzeba pozbawić bestię jadu!” - Albo znów dawał mi lekkie szcutki w brzuch: - „Oni mają wielkiego pietra teraz, cha, cha! boją się o swe kieszenie i o swój brzuch - o swój przemysł i handel! Tylko o tym myślą! Innych, zdarzających się rzadko, głaszczemy i usypiamy, cha, cha!... to łatwo pójdzie!” - Śmiał się, i twarz mu się cała zaróżowiła: - „My wymieniamy ich dusze na miskę soczewicy!”

Werner zaczerpnął tchu.

- Powiedziałem: - „Czyście zważyli to, co robicie? Czyście to ZWAŻYLI?” - On na to: - „Czy spodziewasz się, że nas co zastraszy? Nasza przenikliwość jest innego pokroju!” - Powiedziałem: - „A więc wy zamurujecie ten grób? Na zawsze?” - On na to: - „Tu idzie o życie lub śmierć. Do zdobycia wystarcza Siła, do panowania - nie. Wiemy bardzo dobrze, że armia jest niczym, gdy idzie o panowanie.”

- „Ale za cenę Ducha! - krzyknąłem. - Nie za tę cenę!” - „Duch nigdy nie umiera - odpowiedział. - Nie takie rzeczy przetrwał. Odradza się z popiołów. My musimy budować na tysiąc lat: najpierw trzeba zburzyć.” - Patrzyłem nań. Patrzyłem w głąb jego jasnych oczu. Były szczere. Tak. To właśnie jest najstraszniejsze.

Oczy rozwarły mu się szeroko - jakby na widok jakiegoś ohydneho mordu.

- Oni robią to, co mówią! - Zawołał, jak gdybyśmy sami nie byli w stanie w to uwierzyć. - Metodycznie i wytrwale! Ja znam tych zaciekłych diabłów!

Potrząsnął głową jak pies, którego boli ucho. Przez zaciśnięte zęby prześliznął się szept, jęczące i gwałtowne - „och!” - zdradzonego kochanka.

Nie ruszał się z miejsca. Stał we framudze drzwi wciąż nieruchomy, sztywny i wyprostowany, ze zwisłymi ramionami, jak gdyby one musiały dźwigać ręce z ołowiu; i blady - nie jak wosk, lecz jak tynk niektórych zniszczonych murów: szary, z bielszymi plamami saletry.

Ujrzałem, jak z wolna pochyla tors. Podniósł rękę. Rzucił ją, z dłonią obróconą w dół, z palcami nieco zgiętymi, ku mej siostrzenicy, ku mnie. Skurczył ją, pomachał trochę ręką, przy czym wyraz jego twarzy napręzał się z jakąś dziką energią. Wargi mu się rozchyliły i sądziłem, że ciśnie nam jakieś upomnienie. Sądziłem - tak, sądziłem, że będzie nas zachęcał do buntu. Ale ani jedno słowo nie wyszło z jego warg. Usta mu się zamknęły i - raz jeszcze - oczy. Wyprostował się. Ręce uniosły się w górę, zaczęły wykonywać na wysokości twarzy niezrozumiałe gesty, podobne do niektórych figur tańców religijnych na Jawie. Potem objął dłońmi skronie i czoło, gniotąc powieki małymi palcami.

- Powiedzieli mi: - „To jest nasze prawo i nasz obowiązek.” - „Nasz obowiązek!...” Szczęśliwy ten, co znajduje z tak niefrasobliwą pewnością drogę swego obowiązku. Ręce mu opadły.

- Na rozstaju mówią ci: - „Idź tą drogą.” - Potrząsnął głową. - Otóż, nie widać, żeby ta droga wznosiła się ku świetlistym szczytom, wiedzie ona w złowrogą dolinę, zanurza się w cuchnące mroki posępnego boru!... O Boże, wskaż mi, gdzie jest mój obowiązek!

Rzekł, krzyknął niemal:

- To jest Walka, Wielka Bitwa Doczesności z Duchem!

Wpatrywał się z bolesnym uporem w anioła wyrzeźbionego w drzewie nad oknem, anioła ekstatycznego i uśmiechniętego, promieniejącego niebiańskim spokojem

Nagle wyraz jego twarzy jakby się rozpogodził. Ciało utraciło trochę ze swej sztywności. Twarz schyliła się nieco ku ziemi. Podniósł ją:

- Wykazałem swe prawa - rzekł w sposób naturalny. - Poprosiłem o przydział do dywizji frontowej. Wyświadczono mi wreszcie tę łaskę: jutro wolno mi ruszyć w drogę.

Zdało mi się, że widziałem na jego ustach błąkające się widmo uśmiechu, gdy określił dokładniej:

- Do piekła.

Pokazał ręką na wschód - w kierunku tych bezkresnych równin, gdzie przyszłe zboże będzie się karmiło trupami.

Twarz mej siostrzenicy sprawiała mi ból. Miała w sobie bladość księżycową. Wargi, podobne do brzegów wazy z opaliny, były rozchylone, układały się w tragiczny grymas greckich masek. I ujrzałem, na granicy czoła i włosów, nie rosnące z wolna, lecz tryskające - tak, tryskające - perły potu.

Nie wiem, czy Werner von Ebrennac to widział. Żrenice jego, przycumowane do źrenic dziewczyny, jak na rwącym prądzie łódź do pierścienia w nabrzeżu, zdawały się być złączone z jej oczami nicią tak napiętą, tak sztywną, że człowiek nie śmiałyby przesunąć palca między nimi. Von Ebrennac jedną ręką ujął za klamkę. Drugą trzymał się framugi. Z uparcie nieruchomym wzrokiem z wolna pociągnął drzwi ku sobie.

Powiedział - jego głos był dziwnie pozbawiony wyrazu:

- Życzę państwu dobrej nocy.

Sądziłem, że zamknie drzwi i pójdzie sobie. Ale nie. Patrzył na moją siostrzenicę. Patrzył na nią. Rzekł, wyszeptał:

- *Adieu.*

Nie poruszył się. Trwał wciąż nieruchomy, a w jego twarzy, nieruchomej i napiętej, oczy były jeszcze bardziej nieruchome i napięte, przykute do oczu - zbyt otwartych, zbyt bladych - mej siostrzenicy. To trwało - ile czasu? - trwało, aż wreszcie dziewczyna poruszyła wargami. Oczy Wenera zabłyśły. Usłyszałem:

- *Adieu.*

Trzeba było czyhać na to słowo, żeby je usłyszeć, ale je wreszcie usłyszałem. Von Ebrennac również je usłyszał i dźwignął się w sobie, a jego twarz i całe ciało jakby nabrały giętkości niczym po krzepiącej kąpieli.

I uśmiechnął się tak, iż ostatni jego obraz, jaki pamiętam, był obrazem uśmiechniętym. Potem drzwi się zamknęły i odgłos jego kroków rozpląnął się w głębi domu.

Wyjechał już, gdy nazajutrz zeszedłem na swą ranną filiżankę mleka. Moja siostrzenica przygotowała śniadanie jak co dzień. Podała mi bez słowa. Wypiliśmy w milczeniu. Na dworze świeciło poprzez mgłę blade słońce. Zdawało mi się, że było bardzo zimno.

Październik 1941

BIBLIOTEKA „JEDNOROŻCA”

Ukazały się następujące tomiki tej serii:

Uriel Acosta - Wizerunek własny żywota
Czingiz Ajtmatow – Diamila
Czingiz Ajtmatow - Twarzą w twarz
Akutagawa Byunosuke – Kappy
Mariana Alcoforado - Listy mfłosne
Ivo Andrić – Anika
Jerzy Andrzejewski - Złoty lis
Apulejusz - Amor i Psyche
James Baldwin - Dziś rano, dziś wieczór, tak prędko
Marcin Bielski - O Skanderbegu Macedonie, albańskim księżęciu
Miguel Cervantes - Licencjat Vidriera
Adalbert Chamisso - Przedziwna historia Piotra Schlemihla
Ascanio Condivi - Żywot Michała Anioła
Denis Diderot - Mistyfikacja, Sen d'Alemberta
Theodor Dreiser - Miraż złota
Friedrich Dürrenmatt – Kraksa
Lion Feuchtwanger - Odyseusz i wieprze
F. Scott Fitzgerald - Historia jednego wyjazdu
Erich Fried - Pożar
Dawid Garnett - Niezwykła historia o pani zamienionej w lisa
Mikołaj Gogol – Płaszcz
Albert Paris Gütersloh - Kain i Abel
Tomasz Hardy - W pewnym miasteczku
Jarosław Iwaszkiewicz – Brzezina
Par Lagerkvist - Gość w rzeczywistości
Lao Sze - W cieniu Świątyni Wielkiego Miłosierdzia
Artur Lundkvist - Upadek Jerycha
Włodzimierz Maksimów - A człowiek żyje...
Henry Miller - Uśmiech u stóp drabiny
Cyprian Norwid - Trylogia wioska
Cyprian Norwid - Legendy
Cyprian Norwid - Białe kwiaty
Charles-Louis Philippe - Dobra Magdusia i Biedna Marynia
Luigi da Porto - Romeo i Julia
Aleksander Puszkina - Dama pikowa
Rainer Maria Rilke - Ewald Tragy
Adolf Rudnicki – Niekochana
Rzecz o Alkasyne i Nikolecie
Alan Sillitoe - Samotność długodystansowca
Synezjusz z Cyreny - Pochwała tysiny
Michał Szolochow - Los człowieka

Włodzimierz Tiendriakow – Sąd
Lew Tołstoj - Śmierć Iwana Iljicza
Kostas Varnalis - Prawdziwa obrona Sokratesa
F. a. Villiers de l'Isle-Adam - Tortura nadziei
Żywot łazika z Tormetu

W przygotowaniu:

H. Böll - Kiedy wojna wybuchła
D. Lessing - Pokój nr 19
Vercors - Milczenie morza
F. Werfel - Śmierć drobnomieszczanina

Przełożył WACŁAW ROGOWICZ
Przedmowę opatrzył JAN BŁOŃSKI
Ilustrowała EWA FRYSZTAK
PAŃSTWOWY STYTUT WYDAWNICZY
Tytuł oryginału «LE SILENCE DE LA MER»
Okładkę projektowała DANUTA STASZEWSKA
Printed in Poland Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1966
Wydanie pierwsze Nakład 20 000 + 282. Ark. wyd. 2,6. Ark. druk. 4,25 Papier migi. kl. III. 70 g, 74 X 90/32 z Fabryki Papieru w Kluczkach
Oddano do składania 14. IX. 1965 r.
Podpisano do druku 5. I. 1966 r. Druk ukończono w styczniu 1966 r. Zakłady Graficzne w Toruniu, Katarzyny 4 Nr zam. 2011. F-13. Cena zł 10.-

